

Lwów

Moja siostra Elżbieta urodziła się w 1937 r. z wywichniętymi obydwoma stawami biodrowymi, które powstało, jak przypuszczano, przy porodzie. Były to wtedy rzadkie przypadki, medycyna nie bardzo знаła przyczynę ich powstawania i sposoby leczenia. Dzisiaj rozpoznanie tej przypadłości i leczenie następuje już w wieku niemowlęcym. Wtedy leczono dopiero dzieci kilkuletnie w drodze operacji naprowadzając główkę kości udowej w panewkę biodra, po czym „zakuwano” to wszystko w gips na pół roku, aby udo rosnąć wraz z kością wpasowało się w panewkę. Była to trudna operacja i sądzę, że nie wiele ośrodków chirurgicznych w Polsce ją robiło. Zdecydowano się na prof. Grucę, jednego z najlepszych, jeżeli nie najlepszego polskiego ortopedę. Pracował on we Lwowie. Niestety rok 1943 był to już czas rzezi między Ukraińcami a Polakami. Został zabity jakiś profesor ukraiński i w odwecie Ukraińcy wydali wyrok śmierci na profesora Grucę. Ten ukrywał się, ale ojciec dotarł do niego i wyprosił operację używając argumentu, że są krajanami. Gruca pochodził, bowiem spod Biłgoraja.

Ojciec sam zawiózł Elżbietę do Lwowa, ale stwierdził, że potrzebna jest tam pomoc. Wobec fatalnych warunków wyżywienia w szpitalu trzeba było codziennie donosić Elżbiecie posiłki. Zostałem wyznaczony do tej czynności. Pojechaliliśmy z ojcem do Lwowa z potężnym zapasem żywności. Niestety w Rawie Ruskiej Niemcy wygarnęli wszystkich z pociągu i zabrali nam prawie całą żywność. Złość i nienawiść nasza do Niemców nie miała granic

We Lwowie wcześniej leczyła się niejaka Kalembowa z Brodów Małych i ona zarekomendowała nam, aby zatrzymać się u Zelenewskich na ulicy Gródeckiej 31. Kilkaset metrów dalej, pod górkę stała wspaniała, szeroko znana arcykatedra lwowskich arcybiskupów rytu greckokatolickiego- pod wezwaniem św. Jura.



Fotografia soboru św. Jura z 1943



Zelenewskij (fonetycznie Zjeljenjewskij) z córka Danusią

Zelenewskij, ukraińiec mówiący prawie tylko po ukraińsku, był robotnikiem rozwożącym i znoszącym do piwnic węgiel. Pracował od świtu do nocy. Wracał czarny jak kominiarz od roznoszonego w koszu na plecach węgla. Jego żona była przed wojną służącą w jakiejś polskiej rodzinie, mówiła również po polsku. Prowadziła dom i przegotowywała m.in. posiłki dla Elżbiety, które zanośm do szpitala Łyczakowskiego, gdzie siostra po operacji leżała zakuta w gips od kolan po pępek.

Nieszczęściem, krótko po moim przyjeździe do Lwowa, zamknięto granicę pomiędzy Generalnym Gubernatorstwem a Ukrainą i zostaliśmy odcięci od domu. Miało to fatalne skutki, bowiem rodzice nie mogli dostarczyć nam ani żywności, ani pieniędzy. Kupować żywność po czarnorynkowych cenach nie było za co. Duże miasta głodowały. Niedostatek panował i u Zelenewskich. Okazali się ludźmi ogromnie przyzwoitymi. Nigdy nie traktowali nas gorzej niż własną czteroletnią córkę Danusię. Nigdy potem nie miałem okazji spotkania się z nimi i podziękowania. Pierwszy raz po wojnie byłem we Lwowie w 1973. Na Gródeckiej 31 już nie mieszkali i nikt nie wiedział, co się z nimi stało.

Rodzice potem przez niejakiego Klebana ze Szczebrzeszyna, który służył jako banszuc (niemiecka straż kolejowa) i czasami jeździł do Lwowa w ochronie transportów kolejowych, podawali żywność i pieniądze, ale jak się potem okazało tylko część tego do nas docierała.

Za listowną podpowiedzią mamy próbowałem dostać się do Sokala do jej siostry Franciszki i stamtąd przywieźć trochę produktów. Było to związane z jakimiś trudnościami, dziś już nie pamiętam dokładnie, z jakimi. Wiem, że przez kilka dni podchodziłem do kupienia biletu. Udało mi się być dwa razy w Sokalu skąd przywiozłem trochę zaopatrzenie. Nie tak dużo, jak byśmy chcieli, gdyż i tam Niemcy rabowali żywność przepuszczając tylko małe pakunki. Nie można było ryzykować.

Podczas tych pobytów poznałem lepiej, lub może lepiej zapamiętałem dziadka Bielańskiego. Dopiero teraz obliczyłem, że miał już wtedy 79 lat. Mówił szybko i często rozczulał się do łez. Podczas moich krótkich tam pobytów bardzo mnie hołubił, opowiadał dużo o Sokalu, a szczególnie o klasztorze, dał

mi nawet o nim jakąś książkę, którą miałem mu obowiązkowo odwieźć za drugim razem, co uczyniłem.



Lwów 1943 r. stoję z banszucem Klebanem pod pomnikiem Mickiewicza

Po sąsiedzku obok domu Franciszki, stoi niezbyt wielki dom, w którym mieszka druga siostra mamy, a moja chrzestna Antonina, która przed wojną uczyła w Bełzie. Wyszła w tym czasie za męża za nauczyciela Głazowskiego i sprowadziła się do Sokala. Dom był drewniany z oszklonym gankiem, pomalowany na zielono, bardzo miły i schludny.

We Lwowie poznałem chłopca w moim wieku, ukraińca Eugeniusza Nakonecznego, z którym robiliśmy różne wyprawy po mieście. Najbardziej zapamiętałem sobotnie wyprawy do łaźni, a także potworny strach, kiedy zacząłem tonąć w basenie, który okazał się głębszy niż moje umiejętności. Oraz wyprawę na t.zw. Wysoki Zamek, na który, jak na każdą wysoką i stromą górę, łatwiej było wejść niż zejść. Od niego nauczyłem się trochę ukraińskiego języka.

Niewątpliwie tam w wieku ponad trzynastu lat wydoroślałem i nauczyłem się dawać sobie radę w trudnych okolicznościach. A także tego, że nie jest czymś takim strasznym przebywanie poza domem.

Po kilku miesiącach ojciec załatwił przepustkę do Lwowa i przywieźliśmy do domu siostrę, jeszcze w gipsie, na specjalnie zrobionych do tego celu noszach.